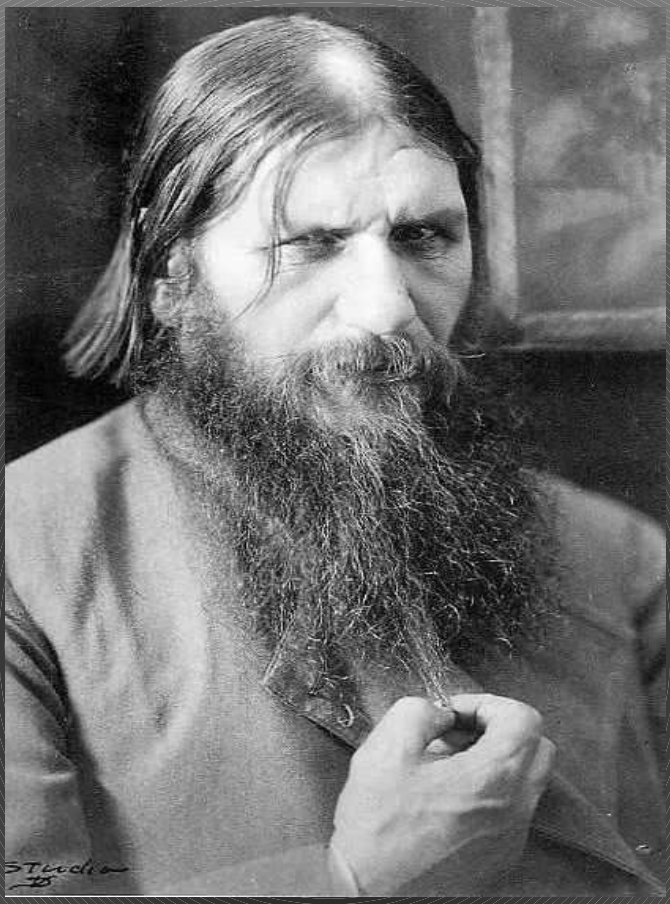


Andrzej Sarwa

Ludzie o nadludzkich mocach

Armoryka

Jeśli chcesz połączyć się z Wydawnictwem i Księgarnią Internetową „Armoryka” aby zapoznać się z jego pełną ofertą kliknij na link poniżej:

http://armoryka.strefa.pl/

ANDRZEJ SARWA

LUDZIE O NADLUDZKICH MOCACH

ARMORYKA
SANDOMIERZ

Redaktor: Joanna Sarwa

© Copyright by Andrzej Sarwa 2005

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel (0-15) 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
http://www.armoryka.strefa.pl/

ISBN 978-83-60276-42-6

DWIE RZECZYWISTOŚCI

Wszyscy z nas rodzą się, żyją i umierają na świecie, który sam w sobie jest czymś cudownie niezwykłym, lecz tej jego niezwykłości na ogół nie dostrzegają, a jeśli już, to bardzo rzadko.

Rzeczywistość, której doświadcza jakże wielu z nas, ogranicza się prawie wyłącznie do zdobywania środków służących biologicznemu przetrwaniu samych siebie oraz potomstwa i do niczego więcej. Niekiedy tylko wzruszamy się pięknem kwiatu, barwą motylich skrzydeł, błękitem jeziornej toni marszczonej podmuchami ciepłego wietrzyku... Lecz przecież natychmiast te duchowe doznania dusimy w sobie, aby czym prędzej powrócić do szarej codzienności i w pocie czoła zdobywać chleb powszedni.

Czy to dobre, czy złe? Cóż, niechże każdy sam sobie na to pytanie odpowie. Ja wspomnę tylko, że jest to naturalne, bo zgodne z podstawowymi prawami biologii: prawem do zachowania życia własnego danego osobnika i prawem do zachowania życia gatunku.

Egzystujemy zatem w jakże ciasnych ramach szarej i rzadko wesołej powszedniości, na ogół nie próbując się nawet zastanawiać nad tym, czy może być poza nią coś innego jeszcze.

Niektórym z nas przecież (a może i większości nawet?) zdarza się o t r z e ć w ciągu jednostajnego biegu żywota o coś co burzy wewnętrzny — zda się trwały, nie podlegający nigdy żadnym zmianom — obraz rzeczywistości jakiej doświadczali od momentu gdy ich uszy wyłowiły pierwszy dźwięk, a ich oczy spostrzegły pierwszy obraz.

I wtedy się buntujemy! Nie chcemy przyjąć do wiadomości, iż oprócz tej naszej — swojskiej, przaśnej — może istnieć równocześnie rzeczywistość inna. Co prawda niekiedy rejestrowana zmysłami, lecz różna od tego co znamy

i niemożliwa do wytłumaczenia przy pomocy rozumu, któremu znane są tylko doświadczenia rzeczywistości „zwyczajnej".

Jest to reakcja tak typowa i tak powszechna, że nie sposób wyobrazić sobie nawet, aby była inna. Oto zetknąłem się z czymś, czego nie jestem w stanie wyjaśnić przy pomocy z n a n y c h mi praw natury. Co więc czuję? Ano najpierw szukam jakiegokolwiek — byle racjonalnego, czy choćby pseudoracjonalnego — wyjaśnienia zjawiska, a kiedy go nie znajduję (bo znaleźć nie mogę!) zaczynam odczuwać niepokój, przeradzający się w strach, a przeciw temu już się buntuję, nie akceptując i odrzucając niewytłumaczalne.

Ludzie, którym zdarzyło się doświadczyć czegoś niepojmowalnego i ponadzwykłego, na ogół nie rozpowiadają o tym na prawo i lewo. Ba! Bywa, że nie informują nawet najbliższych krewnych, z tej prostej i jakże prozaicznej przyczyny: lęku przed ośmieszeniem.

To też typowe i też normalne: boimy się — prawie wszyscy — tego, iżby nam, co nie daj Boże, nie przypięto etykietki niezrównoważonych psychicznie. W *normalnym* świecie jest bowiem miejsce tylko dla *normalnych*. Każdy, który czymkolwiek lub jakkolwiek wyróżnia się w jednolitej masie człowieczej nie tylko intryguje swoją innością, ale pozostałych pobudza do agresji (często zresztą nie do końca i nie w pełni uświadomionej).

Niestety, nie ma tak dobrze w naszym świecie, którego się nie lękamy dlatego, iż jest nam przyjazny, lecz dlatego, że jest nam po prostu znany, a przez to swojski; że wszystko i zawsze toczy się tą samą koleiną, w takim samym rytmie.

Zdarza się bowiem, że oto już nie jednostka (która mogłaby owo dokładnie i skutecznie utaić) lecz cała s p o ł e c z n o ś ć napotyka z j a w i s k o niepojmowalne dla ograniczonego prawami doczesności rozumu. Zdarza się, że w danej społeczności pojawia się o s o b a tak różna

od przeciętnej i normalnej (w pozytywnym znaczeniu słowa), iż poczyna na siebie zwracać powszechną uwagę.

I wówczas — po prostu — nie pozostaje nic innego, jak — przyjąwszy do wiadomości — uznać owo za realne, chociaż niepojmowalne i niewytłumaczalne. Jednocześnie przybierając jakąś pozę, czy może przywdziewając maskę obojętności. Udając, że to nas nic, a nic nie obchodzi. Po prostu — wmówić sobie, że n i e z w y k ł e tak naprawdę jest z w y c z a j n e.

Dopiero wtedy nasz świat wraca do zachwianej uprzednio równowagi, chociaż jednak nie mając innego wyjścia, przez życie samo jesteśmy zmuszeni do uznania faktu, iż tak naprawdę istnieje nie tylko ta jedna, powszednia, rzeczywistość, ale niejako dwie rzeczywistości (chociaż tak naprawdę jest ona tylko jedna, choć ma różne wymiary).

Sądzę, że Czytelnika bez wątpienia zainteresuje zaznajomienie się choćby tylko z niektórymi przejawami niezwykłości, jakie zdarza się — niekiedy — napotkać na zwykłej, wyboistej, zapylonej drodze żywota, wiodącej nas nieodmiennie i nieuchronnie od chwili narodzin, ku chwili zgonu.

CUDA SZAMANÓW

Amerykański psycholog Max Freedom Long obejmując w 1917 roku posadę nauczyciela w Honolulu na Hawajach, po raz pierwszy usłyszał o kahunach — tajemniczych kapłanach starożytnego kultu Polinezyjczyków. Ponieważ tubylcy niezbyt chętnie udzielali mu skąpych informacji na ich temat, nie tylko nie zaspokoili ciekawości Amerykanina, ale jeszcze bardziej ją rozpalili.

Już w tamtych czasach kasta kahunów zanikła na skutek zaciekłego zwalczania jej przez misjonarzy chrześcijańskich z jednej strony, a przez krzewicieli „najwspanialszej" kultury białych ludzi z drugiej.

Ponieważ nie ma nic gorszego od rozbudzenia ciekawości człowieka i niezaspokojenia jej, zrozumiałe się staje, że Long nie zadowolił się informacjami podawanymi mu półgębkiem i rozpoczął badanie huny — owej tajemnej religii i równocześnie wiedzy krajowców z wielkim zapałem i ogromnym zaangażowaniem.

Wkrótce trafił na żywą kopalnię wiadomości o hunie i kahunach w osobie dra Brighama — kustosza Muzeum im. P. Bishop w Honolulu.

Człowiek ten — wówczas ponad osiemdziesięcioletni starzec — przyjaźnił się swego czasu z kapłanami hawajskimi i bywał świadkiem ich nieprawdopodobnych wyczynów. Jednym z najbardziej widowiskowych było chodzenie bosymi stopami po rozżarzonej, ledwie skrzepłej lawie wulkanicznej. Co ciekawsze, dr Brigham sam brał udział w takim spacerze pod opieką kahunów.

Oto fragment jego opowiadania zanotowany przez Longa:

> *„Kiedy kamienie rzucone przez nas na powierzchnię lawy nie zapadły się, z czego wywnioskowaliśmy, że lawa była już dostatecznie twarda, aby mogła (...) unieść nasz ciężar, kahuni wstali i zeszli z usypiska.*

Gdy zeszli na dół, upał stał się wprost nie do zniesienia. Było tam bez porównania goręcej niż w piecu piekarskim. Lawa ciemniała na powierzchni mieniąc się różnymi barwami, jak stygnące żelazo, nim je kowal zanurzy w kadzi dla zahartowania. Teraz żałowałem mej ciekawości. Sama myśl przerażała mnie, gdy uprzytomniłem sobie, że będę musiał przebiec na drugą stronę po tym płaskim piekle. (...)

Kahunowie zdjęli sandały i przywiązali sobie liście ti (draceny — przyp. A.S.) dokoła stóp, biorąc po trzy liście na stopę. Usiadłem i zacząłem przywiązywać liście po zewnętrznej stronie mych podkutych butów.

To się kahunom nie podobało. Miałem zdjąć buty oraz dwie pary skarpet. Bogini Pele (bogini ognia i wulkanów — przyp. A.S.) nie zgodziła się uchronić moich butów przed spaleniem i pozostawienie ich na nogach mogło ją obrazić. (...) opierałem się stanowczo odmawiając zdjęcia obuwia.

Wyobrażałem sobie, że jeśli Hawajczycy mogli chodzić po gorącej lawie bosymi stopami mającymi twardą skórę, to i ja mogłem przejść w moich ciężkich skórzanych butach o grubych podeszwach, które by mnie chroniły przed gorącem.

Proszę wziąć pod uwagę, że opisywana tu przygoda zdarzyła się wtedy, gdy jeszcze przypuszczałem, iż istnieje jakieś fizyczne wytłumaczenie owego zjawiska.

W końcu kahuni zaczęli uważać moje obuwie na nogach jako doskonały dowcip. Jeżeli jestem gotów poświęcić je bogom, to może nawet jest i dobra myśl. Uśmiechali się do siebie porozumiewawczo i pozwolili mi przywiązać liście ti do podeszew, gdy rozpoczęli nucenie jakiejś pieśni.

Słów nie mogłem niestety zrozumieć, bo tekst był w jakimś archaicznym, nieznanym mi hawajskim narzeczu. Była to (...) „mowa bogów" przekazywana z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów. Zrozumiałem tylko, że treścią pieśni były proste wzmianki o legendarnej historii, przeplatane pochwałami dla boga lub bogów.

Nim kahuni skończyli śpiewać, już byłem omal że żywcem upieczony, choć śpiew nie trwał dłużej niż kilka minut. Wtedy nadszedł czas wejścia na lawę. Jeden z kahunów uderzył w migocącą powierzchnię lawy wiązką liści ti, i uprzejmym gestem dał mi pierwszeństwo wejścia na lawę. Lecz u mnie natychmiast odezwało się dobre wychowanie i dałem pierwszeństwo starszemu niż ja kahunowi. (...)

Stary człowiek bez wahania wstąpił na tę przerażająco gorącą powierzchnię. Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Był już prawie na drugiej stronie, a odległość od drugiego brzegu wynosiła około pięćdziesięciu metrów. Nagle mnie ktoś pchnął tak, że miałem do wyboru albo paść na twarz, albo uchwycić rytm biegu.

Nie wiem jakie szaleństwo mnie opętało, lecz biegłem. Gorąco było straszliwe. Wstrzymywałem oddech, a umysł mój przestawał pracować (...) po pierwszych kilku krokach zaczęły mi się palić podeszwy (...) Szwy puściły i jedna podeszwa urwała się, a druga kłapała trzymając się jeszcze obcasa. (...)

Wreszcie skoczyłem na miejsce bezpieczne. Spojrzawszy na stopy spostrzegłem, że (...) palą się skarpetki. Kahuni pokazywali sobie leżącą opodal na lawie dymiącą podeszwę mego buta (...) i tarzali się ze śmiechu.

> *Ja też się śmiałem. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, że już jestem poza zasięgiem niebezpieczeństwa, i że na mych stopach nie ma śladów skutków ognia, nawet w miejscach gdzie paliły się skarpetki. (...) Również żaden z kahunów nie odniósł oparzenia, choć liście ti przywiązane do nóg dawno się były spaliły."* (Max Freedom Long, *Cuda w świetle wiedzy tajemnej*, Kraków 1983, cz. I. s. 14 — 15)

Czytając ów opis, mimo woli nie dowierzamy realności tego, czego doświadczył dr Brigham, starając się znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie fenomenu. A ponieważ nie jesteśmy w stanie ani zagadki rozwikłać, ani wyjaśnić przy pomocy dostępnej nam wiedzy, najchętniej skłaniamy się ku poglądowi, że było to albo oszustwo, albo zbiorowa halucynacja. Czyli że nic z tego, o czym pisze Long, nie miało miejsca w rzeczywistości. Ba! Gdybyż to był przypadek odosobniony i szło wyłącznie o relację Brighama. Niestety tak dobrze nie ma. Ponieważ sztuka chodzenia po ogniu znana była nie tylko dawnym Polinezyjczykom, ale także praktykowana w innych rejonach globu ziemskiego, na przykład w Indiach, a najbliżej nas w Bułgarii.

Istnieje wiele relacji europejskich świadków, liczne filmy i fotografie. Może da się oszukać zawodne zmysły człowieka, ale przecież nie obiektyw kamery. Tak więc w końcu uznano za bezsporne i nie podlegające dyskusji chodzenie po rozżarzonych węglach, kamieniach, lawie... Nie wiedziano natomiast jak wyjaśnić fakt, iż taki spacer nie powoduje poparzenia nóg, aż ktoś w zacisznym gabinecie wykoncypował, że jest to możliwe, ponieważ idąc nie przyciska się całej powierzchni stopy do podłoża, i idąc szybko, można uniknąć poparzenia. Wielka szkoda, że ten który to wydumał, nie sprawdził hipotezy w praktyce. Jestem całkowicie przekonany, że prędziutko by ją odwołał, kurując

się z bąbli na podeszwach. Ponieważ jednak tego nie uczynił, plącze się ona w wielu pracach jako „racjonalne wyjaśnienie zjawiska" (że też większość „racjonalnych, naukowych wyjaśnień", zjawisk niewytłumaczalnych, to podobne do tego idiotyzmy).

Cóż zatem powoduje, że niektórzy ludzie mogą bezkarnie chodzić po ogniu? Czyżby liście draceny, którymi polinezyjscy czarodzieje obwiązują sobie stopy miały jakieś szczególne właściwości? Ponieważ wiem, iż tę roślinę można spotkać na niejednym parapecie, z góry ostrzegam przed podejmowaniem prób chodzenia po żarze w domowym zaciszu. Dracena nie pomoże — można mi wierzyć.

Jeśli nie dracena to co? Wiadomo iż czarodzieje przed spacerem po ogniu wprowadzają się w pewnego rodzaju trans przy pomocy śpiewu i tańca. To właśnie ma największe znaczenie, doprowadzając uczestników obrzędu do stanu będącego pograniczem jawy i snu, a żywo przypominającego zachowanie się ludzi znajdujących się pod wpływem sugestii hipnotycznej. Chociaż nadal nie wiadomo czym właściwie jest hipnoza, to od pewnego czasu z powodzeniem stosuje się ją między innymi w medycynie. Człowiek znajdujący się w transie, na rozkaz hipnotyzera przestaje odczuwać ból, co samo w sobie jest nie mniej tajemnicze od spacerów po ogniu, i nie odczuwa oparzeń — nawet miejsc szczególnie bogato unerwionych — czego sam niejednokrotnie byłem świadkiem. Nie reaguje na dotyk rozżarzonego papierosa, ani płomienia zapałki i to na dowolnie długi czas. Niestety, mimo nieodczuwania bólu dochodzi do poparzeń, lub w najlepszym wypadku do mocnego zaczerwienienia skóry poddanej działaniu bodźca termicznego. Ponieważ podobnych efektów nie obserwuje się u szamanów chodzących po ogniu. Zatem wyjaśnienie za pomocą hipnozy czy autosugestii można z całym spokojem odrzucić. Chyba że... nie wszystko jeszcze wiemy o ich działaniu. Ale przecież wyjaśnianie zagadek innymi zagadkami nie jest właściwie żadnym wyjaśnieniem.

Tak więc koło się zamknęło. Chodzenie po ogniu jest faktem, zaś na rozwikłanie tajemnicy tego fenomenu trzeba będzie jeszcze poczekać, o ile oczywiście ono w ogóle nastąpi.

* * *

Czarodziejami—szamanami czyniącymi podobne cuda byli nie tylko hawajscy kahuni. Ludzi posiadających niewyjaśnione, sprzeczne z naukowym obrazem świata i zjawisk na nim zachodzących, właściwości można było napotkać — a nawet spotyka się ich dziś jeszcze — w różnych częściach świata.

Pewien młody europejski lekarz był świadkiem wydarzenia nie mniej tajemniczego niż chodzenie po ogniu.

Otóż, wśród afrykańskiego plemienia Gola dokonano zabójstwa, którego sprawcę konwencjonalnymi metodami śledczymi nie dało się wykryć. Wówczas wódz plemienia postanowił poprosić o pomoc szamankę.

Na rozkaz wodza wszyscy mieszkańcy wsi zgromadzili się na wielkiej polanie, gdzie zaproszona przystąpiła do szukania winnego pośród zebranych.

Wyglądało to tak: stanęła przed tłumem trzymając w dłoni długi drewniany pręt, opuszczony pochyło ku ziemi. Po obydwu jej stronach przykucnęły dwie stare kobiety, z których jedna na znak dany przez wodza poczęła, zrazu wolno, a później coraz szybciej, rytmicznie uderzać krótką pałeczką w pręt dzierżony przez czarownicę. Ta ostatnia jakby zesztywniała, oczy jej zaszły mgłą, a całym ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze. Po chwili jęła prętem uderzać o ziemię, a kurcze targające jej ciałem nasiliły się do tego stopnia, że straciła równowagę i upadła na bok. Widać było, iż znajduje się w transie, na co wskazywał zarówno jej wygląd, jak i zachowanie. Nadal tocząc się rytmicznie po ziemi, niczym automat, uderzała prętem o jej powierzchnię. Otaczający ją ludzie z przerażeniem cofnęli się. Wówczas